Cena 4 mk.

№ 7. Warszawa, 25 kwietnia 1920 roku. Rok I.

TYDZIEŃ POLSKI

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY
wychodzi w sobotę.
Adres Redakcji: Warszawa, Nowy Świat 22.

LEON PETRAŻYCKI.

O ratunek dla inteligencji, kultury i nauki.

Na zjeździe uczonych polskich 8-go kwietnia toczyła się dyskusja na temat o bycie materjalnym profesorów, rzeczywiście bardzo opłakanym. Autor niniejszego artykułu uważał za wskazane postawić zagadnienie szerzej i głębiej i jednocześnie tak, aby obrady zjazdu mogły dać pewne wyniki praktyczne, pewne wskazówki dla miarodajnych czynników, poparte autorytetem tak szanownego zjazdu. W tej myśli autor postawił wniosek, aby zjazd powziął następującą uchwałę:

„Teraźniejszy powojenny stan nienormalny podziału dochodu narodowego (upośledzenie wykształconych) uniemożliwia mniej zamożnej części inteligentnych rodzin podtrzymanie kultury narodowej i inteligencji za pomocą należytego kształcenia dzieci i odstrasza i innych od kształcenia dzieci lub kształcenia się i zdobywania wyższych kwalifikacji umysłowych.

Nieuniknionym, smutnym i zgubnym dla Polski skutkiem takich warunków, w razie dalszego ich trwania, musi być nie tylko zatamowanie normalnego rozwoju naszej kultury umysłowej, ale cofanie się i zanik tej kultury.

Dla tego Zjazd naukowy uważa za swój obowiązek wobec Ojczyzny i ludzkości wskazać na konieczność szybkiego przedsięwzięcia ze strony miarodajnych czynników (sejmu i rządu) jak najenergiczniejszej, gruntownej i wszechstronnej akcji ratunkowej.

W szczególności zjazd uważa za niezbędne środki ratowania naszej kultury umysłowej i nauki:

I.

1. Zaprzestanie pobierania wszelkich wpisów i innych opłat za nauczanie we wszystkich szkołach państwowych, nie wyłączając uniwersytetów i innych wyższych uczelni.

2. Umożliwienie i dla niezamożnych zdobywania średniego i wyższego wykształcenia za pomocą przeznaczenia odpowiednich sum w budżecie państwowym na stypendja i bursy dla niezamożnych uczniów i studentów uniwersytetów i innych uczelni.

3. Umożliwienie uzdolnionym do pracy naukowej dalszego kształcenia się w kierunku naukowym i zdobycia wyższych kwalifikacji naukowych za pomocą przeznaczenia odpowiednich sum w budżecie państwowym na stypendja dla zdolnych i skłonnych do poświęcenia się zawodowi naukowemu.

4. Stworzenie płatnej i etatowej docentury i asystentury z należytym, przystosowanym do stanu walut i cen, uposażeniem osób, polecanych przez odnośne wydziały uniwersytetów i innych wyższych uczelni na stanowiska asystentów i docentów. Ten środek podtrzymania naszej nauki Zjazd uważa za niezbędny nie tylko dla zachęty do pracy naukowej, umożliwienia takowej i przygotowania kadrów uczonych i profesorów, ale i dla należytego prowadzenia wyższego nauczania, wymagającego jaknajobfitszego rozwoju kursów, nie tylko systematycznych, ale i specjalnych i monograficznych. Instytucja prywatnej i bezpłatnej docentury musi też być zachowaną.

5. Stworzenie i podtrzymanie pobudek do zdobywania wyższych i najwyższych kwalifikacji umy-

słowych i do odpowiedniej pracy za pomocą takiego uregulowania dochodów, o ile to zależy od państwa, aby w sferze zawodów inteligentnych wyższe i najwyższe kwalifikacje umysłowe były stosownie opłacane.

6. W szczególności w dziedzinie zawodu naukowego w ścisłem znaczeniu, wymagającego nie tylko długiej i ciężkiej pracy przygotowawczej, ale i talentu i zapału, uposażenie powinno być takim, aby zawód ten mógł wytrzymywać konkurencję z innemi zawodami, gdzie talent może i bez tak długiej i trudnej pracy przygotowawczej zdobywać łatwe i wielkie sukcesy, i aby wytworzyć obfity przypływ, konkurencję i żywą emulację sił twórczych naukowych i możność wyboru na katedry uniwersyteckie i innych zakładów naukowych najlepszych i najwybitniejszych uczonych, zdolnych do podniesienia na poziom jak najwyższy naukowego wykształcenia i wychowania młodzieży polskiej i rozwoju i sławy nauki polskiej".

Wnioski przedstawione na Zjeździe nie były poddane głosowaniu. A więc i wyżej sformułowany wniosek nie wywołał specjalnej uchwały zjazdu, jako takiego. Jednakże można powiedzieć, że ten wniosek wogóle oprócz jednego punktu, który spotkał opozycję ze strony dwóch uczestników zjazdu (o czem niżej), znalazł przychylne przyjęcie i specjalne uwzględnienie w krótkiem ogólnem sprawozdaniu z obrad zjazdu, wygłoszonym (przed zamknięciem Zjazdu) przez przewodniczącego.

Wspomnianą tylko co opozycję wywołało zaliczenie do niezbędnych środków ratowania naszej kultury umysłowej i nauki: „Zaprzestania pobierania wszelkich wpisów i innych opłat za nauczanie we wszelkich szkołach państwowych, nie wyłączając uniwersytetów i innych wyższych uczelni".

Zarzut, podniesiony przez dwóch członków Zjazdu, przeciwko tej tezie, polegał na tem, że słuszność i względy finansowe wymagają, aby ci, którzy mogą płacić za naukę dzieci, nie byli zwalniani od tego.

Z tego powodu krótko zaznaczę:

1. Opłaty od zamożniejszych i bogatych na korzyść państwa należy od nich pobierać za pomocą odpowiedniego systemu podatkowego, postępowego podatku dochodowego, i t. d.

Opodatkowanie majątkowe i dochodowe, do tego postępowe, t. j. dla bogatych i najbogatszych większe, niż proporcjonalne, większe, niż odpowiednie do stopnia ich zamożności, to jest rzeczywiście słuszny i racjonalny sposób złożenia kosztów utrzymania państwa na warstwy zamożniejsze i wzbogacenia skarbu. O wiele racjonalniejszy sposób, niż opodatkowanie według stopnia płodności rodzin i dbałości ich o należyte wykształcenie dzieci, t. j. karanie ich za te dobre sprawowanie się. System opłat za naukę daje państwu bardzo niewiele— quantité négligeable, a szkodzi bardzo, bo musi działać, szczególnie przy takim stanie ekonomicznym, jaki jest obecnie, w związku z innemi kosztami kształcenia dzieci, w kierunku:

1. wstrzymywania się od małżeństw,

2. zmniejszania się płodności zawieranych małżeństw i

3. obniżania przeciętnego poziomu kształcenia płodzonych dzieci.

I te przyczynowo konieczne, nieuniknione smutne działanie teraźniejszego systemu, mogące przy współczesnym stanie ekonomicznym prowadzić do rozpowszechnienia Zweikindersystemu i innych smutnych zjawisk w tym rodzaju, skierowuje się właśnie na kulturalniejszą część narodu, przeciwdziała rozmnażaniu się inteligencji i rozszerzaniu się i podniesieniu kultury. Zwolnienie od wpisów i innych opłat za naukę dzieci tylko tych, co nie w stanie są płacić, nie ma większego realnego znaczenia i jest systemem upokarzającym i demoralizującym, idącym na dobro stosunkowo nieznacznej części rodzin, niekoniecznie mniej zamożnych i więcej zasługujących na poparcie pod innemi względami. Natomiast proponowany przezemnie system (teza 1-ą *w związku z dalszemi*) działałby, również przyczynowo koniecznie, niechybnie w kierunku podtrzymania i zwiększenia rozmnażania się kulturalniejszych elementów narodu i podniesienia poziomu ich inteligencji i kultury duchowej narodu i państwa w ogóle. A koszta tego działania, zresztą z punktu widzenia polityki finansowej nie wielkie, w obec ważności sprawy więcej niż skromne, byłyby przełożone pośrednio, za pomocą należytego systemu podatkowego, na tych, którzy się odznaczają nie kulturą, płodnością i dbałością o wykształcenie dzieci, a bogactwem, zdobytem w czasie wojny, lub kiedyindziej.

Wypracowując i stawiając swój krótko sformułowany, ale sumiennie i wielostronnie przemyślany i opracowany wniosek, miałem jeszcze na myśli i inne względy polityki państwowej, wewnętrznej i po części i zewnętrznej.

O względach polityki wewnętrznej nie uważam za potrzebne tutaj mówić; natomiast co do względów polityki zewnętrznej, chociaż mniej ważnych, nadmienię:

O Polsce i polityce polskiej zagranicą, w Europie zachodniej i wschodniej i w Ameryce, uporczywie są rozsiewane i podtrzymywane pogłoski i przekonania, że jest ona niepostępowa, niedemokratyczna, nawet reakcyjna, obskurancka i t. p.

Niestety, jak każdy, kto śledzi za prasą zagraniczną lub przebywał w ostatnich czasach zagranicą, może potwierdzić, propaganda ta jest skuteczną, i nie może nie szkodzić nam w bliższej lub dalszej przyszłości.

Otóż jednym z ubocznych, mniej ważnych i cennych, a jednak zasługujących na uwagę, rezultatów wprowadzenia poleconego w przytoczonym wniosku systemu byłoby uniemożliwienie skutecznego pomawiania o zacofanie i obskurantyzm takiego rządu i takiego państwa, które wprowadziło tak demokratyczny, postępowy i wysoce kulturalny system kształcenia i wychowania publicznego i podtrzymania postępu nauki i kultury. Przeciwnie, byłaby mowa, a nawet powstałaby żywa propaganda w prasie, parlamentach i t. d. w różnych państwach na temat o systemie polskim, jako wysoce i prawdziwie postępowym i przykładzie, godnym naśladowania.

Ale to jest, powtarzam, tylko jeden z ubocznych i najmniej ważnych względów, a są inne, o wiele ważniejsze i bardzo ważne, po części wyżej wskazane, po części zrozumiałe i bez specjalnych wskazówek, względy polityki nauki i kultury, polityki ludnościowej, gospodarczej polityki i polityki we-

wnętrznej w ściślejszem znaczeniu słowa, przemawiające dobitnie i stanowczo w tym samym kierunku.

Jeszcze kilka uwag, jako dodatkowy komentarz do niektórych tez wniosku.

Chyba każdy, kto umie obserwować, co się dzieje, i myśleć, rozumieć związki przyczynowe i przewidywać skutki, jak należy w dziedzinie polityki, aby ona była rozumną, świadomą, krytyczną i racjonalną, zgodzi się, że dłuższe trwanie takiego stanu rzeczy, który nietylko nie stwarza pobudek do zdobywania wykształcenia i wyższych kwalifikacji umysłowych dla siebie lub dla dzieci za pomocą odpowiedniego opłacania się, koniecznych ofiar, czasu, pracy i t. d., ale przeciwnie, odstrasza od tego; który grozi za te, i bez tego ciężkie ofiary, jeszcze wszelkiem upośledzeniem, nędzą wyjątkową i straszliwą i zepchnięciem w najniższe warstwy proletarjatu — bo przecie teraz właśnie inteligencja tworzy prawdziwy i właściwy proletarjat i prawdziwie proletarjacką polityką byłaby polityka ratowania i podtrzymania inteligencji — że dłuższe trwanie takiego stanu musi mieć swoje odpowiednie skutki przyczynowe wskazanej natury, bardzo smutnej i groźnej dla całego narodu i państwa. A więc nie można zadawalniać się przyznawaniem nienormalnego stanu, smutnem kiwaniem głowami, wskazówką ze strony panów ministrów, szefów sekcji i t. d., że i oni bardzo są skromnie opłacani etc., a trzeba wziąć się energicznie i stanowczo do rzeczy i czynu. Drobna mikroskopijna łataninka to tu, to tam zupełnie nie odpowiada realnemu stanowi rzeczy, który wymaga nie takiej sporadycznej mikroskopji i łataninki, a stanowczej i *gruntownej* reformy.

A więc należy mieć śmiałość myśli i czynu i przeprowadzić odpowiednią reformę.

Teraz uważa się za postępową politykę społeczną jaknajwiększe mieszanie się rządu i państwa wogóle do spraw ekonomicznych. Robi się to w najniedorzeczniejszy sposób i sprowadza się do przeszkadzania prywatnej inicjatywie i przedsiębiorczości i paraliżowania jej, gdzie tylko można i jak tylko można, do tamowania w ten sposób rozwoju handlu i przemysłu i do uporczywego podtrzymywania w ten sposób nędzy i ruiny ekonomicznej. Natomiast tam, gdzie rzeczywiście potrzebna i nawet konieczna i niezbędna jest ingerencja rządu i państwa w ogólności, w dziedzinie nie produkcji dóbr ekonomicznych i ich obiegu handlowego, (circulatio) a podziału dóbr (distributio), podziału dochodu narodowego, tutaj tego się nie robi. Tutaj brak gotowego niemieckiego szablonu (stworzonego w Niemczech w czasie wojny i dla celów wojennych militarystycznego quasi-socjalizmu) do małpowania, a potrzebna jest myśl samodzielna i samodzielna oryginalna polityka; a na taką nas nie stać.

Autorowi tego artykułu udało się wprowadzić do nauki różne idee o tyle, o ile to było zrobione via Berlin, przez niemiecką literaturę. Te idee, które mają niemiecki stempel, wszystkie są przyznane w nauce. Natomiast te, które nie mają takiego stempla, uporczywie są zwalczane i uważane za coś niesłychanego, paradoksalnego i t. p. Może te idee, które są zawarte w przytoczonym wniosku, udałoby się przeprowadzić via Berlin—Warschau, ale, niestety, niema faktycznej możności działać w ten sposób, a sprawa jest nagląca. *(dok. n.)*

JAN KUCHARZEWSKI.

Polska w dzisiejszym systemie polityki międzynarodowej.

Z CYKLU: ROLA DZIEJOWA POLSKI.

Ze środkowego zagrożonego położenia Polski wynika, że na losy jej ma wpływ polityka wszystkich narodów, odgrywających rolę w polityce świata, a więc naprzód polityka jej dwuch głównych sąsiedzkich rywali dziejowych, a następnie i polityka ich sąsiadów lub rywali, a naszych domniemanych lub naturalnych sojuszników; w tej liczbie znajdzie się cała reszta potęg świata. Polityka polska jest zatem nietylko europejska, lecz i w najrozleglejszem znaczeniu międzynarodowa, światowa, nie mówiąc już o węzłach gospodarczych, jakie wiązać będą Polskę z narodami całej ziemi. Kierownicy tej polityki muszą posiadać jednolity system, oparty na zbadaniu warunków naszego narodu i na poznaniu istotnych sprężyn i znamion polityki państw obcych. Polityka narodu polskiego nie może składać się z nieskoordynowanych fragmentów, lecz powinna stanowić organiczną całość. Nie może również polegać, co do polityki państw obcych, na dowolnych domniemaniach. Powinna istnieć jednolita polityka polska, stworzona przez rząd, zrozumiała dla narodu i przez naród popierana.

Ci, którzy chcą ustalić jej najogólniejsze zarysy, muszą zdać sobie sprawę z ogólnego charakteru stosunków międzynarodowych po obec-

nej wojnie. Głównym rysem tego wielkiego dramatu pokoju wszeehświatowego, jaki się odgrywa z kolei po krwawym dramacie wojny, jest walka ideałów, proklamowanych przez narody zwycięskie jako cel wielkiej wojny, z przeszkodami, piętrzącemi się na drodze ich urzeczywistnienia; wśród tej walki podnoszą głowę dawne zasady egoizmu państwowego, dążenia do potęgi i bogactwa. To zmaganie się ideałów z rzeczywistością, nowych haseł z dawnemi stanowi główny ton wielkiego dramatu.

Po nieskończenie długiej udręce wojennej, po strasznych wysiłkach, ofiarach i stratach narody całą duszą uchwyciły się nadziei, iż rodzi się nowy świat, w którym nie będzie już walk zbrojnych i przemocy a zapanuje sprawiedliwość i wieczny pokój; na straży tego sprawiedliwego pokoju stanie Liga narodów. Jeśli potrzebę tej nadziei żywiołowo odczuły inne narody, cóż dziwnego, że Polska, udręczona nietylko wojną, lecz i stuletnią niewolą, powitała z upragnieniem i ufnością nową erę, Gdy zaczęły mnożyć się objawy, mrożące ten optymizm, wówczas z kolei zapanował naiwny pesymizm i dziś dość powszechnie już rozlega się zdanie, że w naturze stosunków na ziemi nie zaszła żadna istotna zmiana, że świat zmienił tylko hegemonów.

Tak olbrzymie wydarzenie, jak ostatnia wojna, nie może przejść bez głębokich skutków dla ludzkości. Te skutki, podobnie jak po wielkiej Rewolucji Francuskiej, mogą nie być odrazu widoczne, działanie wielkich wydarzeń nurtuje głęboko a nieustannie, powrotu do dawnego stanu już być nie może. Ze stanowiska demokracji skutki te stanowić będą ogromny krok naprzód. Było rzeczą dla wszystkich ludzi oświeconych i przed wojną jasną, że demokracja, czyli system, oparty na narodowładztwie, równości obywateli wobec prawa i dążeniu do zaprowadzenia sprawiedliwości w stosunkach gospodarczo-społecznych, stanowi formę ze stanowiska postępu dziejowego wyższą od systemu, opartego na absolutyżmie, przywileju i brutalnej przewadze kapitału nad pracą. Powtarzając zdanie, iż demokracja jest ideałem przyszłego ustroju, nie wierzono jednak powszechnie w to, aby demokracja już współcześnie była siłą. Widok przewagi trzech mocarstw wschodnio-europejskich, które posiadały absolutyzm wyraźny lub maskowany formami konstytucyjnemi, dawał wielu ludziom do myślenia, iż Ormuzd demokracji ma. niestety, słabe mięśnie, mocne zaś ma tylko Aryman despotyzmu. Pozory siły biurokratycznych, wymusztrowanych monarchji wschodnio-europejskich posiadały moc sugestji. Kto z Rosji lub Niemiec zajeżdżał do Francji i spotykał się tu z nieubłaganą krytyką rządu, z nieokiełznanym językiem prasy, z pozornym rozluźnieniem dyscypliny wojskowej, ten ulegał nieraz obawie. że kraj wolności obywatelskiej nie wytrzyma pojedynku z żenym militaryzmem Niemiec. W samej Francji niesłychanie przeceniano potęgę caratu rosyjskiego, a niedoceniano potęgi własnej republiki. W Rosji hołdowano teorji, iż przy absolutyzmie potęga państwa,ześrodkowana w jednem ręku, jest w razie wojny posłusznem i sprawnem narzędziem ataku i obrony, podczas gdy w demokracjach ta moc narodu jest rozproszkowana, osłabiona na rzecz wybujałej wolności obywateli. Traktowano uleganie despotyzmowi, jako ciężką ofiarę patrjotyczną z wolności obywatelskiej, składaną na rzecz potęgi państwa. Byli

---

ERNEST ŁUNIŃSKI.

O Polsce i Danji.

Propaganda, w Danji zaszczepiona dłonią głośnego Brandesa, plenne wydała owoce, przybierała chwilami maskę, jakby przedrzeźniającą się i przekrzywiającą nasze ciężkie zapasy i czcigodną przeszłość. Obok dziwolagów, pasujących Salomona Rabinowicza na „polskiego Marka Twaina“ i wielkiego narodowego parnasistę, obok cudactw, bajeczek w lichym stylu, jakoby aktorka Betty Nansen miała prawa do tronu polskiego, dzięki pochodzeniu od Władysława IV, nie omieszkała „Politiken“ każdego przestępcy, czy on był Katzem, Goldsteinem, Rappaportem lub Rabinowiczem, uczcić mianem Polaka, byleby tylko w czytelników wpoić przekonanie o niepoprawnej zbrodniczości całego społeczeństwa. Wyzywające wystąpienia „Politiken“ nabierały coraz bardziej jasnych kształtów, przedzierżgały się w ustawiczną nagankę, obliczoną na dalszą metę i szersze cele, niż o ruch z powodu przejaskrawionych rozruchów antysemickich, Niebawem wojujący sjonizm różnych odcieni utorował sobie drogę bezwzględnie otwartą do warowni redakcyjnej i usłał w niej wygodne gniazdo. Gazeta, która nie chciała umieścić ani jednej odpowiedzi z 20 nadesłanych na napaści Brandesa, rzucała bez przerwy wianki ostów pod nogi polskie, jako znawcą spraw i stosunków naszych posługiwała się korespondentem „Utra Rosii“, W. Grossmannem, agitatorem krańcowego sjonizmu. Dziennikarz ten wmawiał w Duńczyków, że na pierwszy rzut oka uderza w Polsce przeciwieństwo między orjentalnymi strojami szlachty a nędzą uciemiężonego ludu, przytaczał bon môts Dumourieza: „Polacy są Azjatami Europy“ lub zdziwienie Rousseau „jak tajemniczo sklejone państwo może się ostać tak długo“. Nie było rany w którejby nie grzebano. Udzieliła się ta metoda pewnym lewicowym organom jak: „Fynst Venstreblad“ i doszło wreszcie do tego, że w prowincjonalnym „Kobenhavns Amtstidende“ z 19 kwiet-

wprawdzie ludzie, którzy odeawna mówili o Rosji, jak o kolosie o glinianych nogach, a Prusom przepowiadali, iż przebywszy drogę od Jeny do Sedanu, z kolei może odbędą drogę od Sedanu do Jeny, lecz zdania ich uchodziły za paradoksy.

Wojna ostatnia okazała wyraźnie, iż rząd despotyczny i reakcyjny, przy którym mniejszość panuje arbitralnie nad olbrzymią większością, nie wytrzymuje, w czasie długotrwałej i ciężkiej wojny, prób niepowodzenia. Gdy żelazna machina rządu zużyje się w walce i osłabnie, wówczas przychodzi niechybnie katastrofa, rząd stoi bezradny, wśród własnego narodu odosobniony; po za nim społeczeństwa niema, bo: sam rząd miażdżył gorliwie wszelką siłę społeczną, monopolizując całą moc dla siebie; zostaje tylko zdezorganizowany ogół, bezsilny wobec nieprzyjaciół, gotowy do włożenia głowy w jarzmo, które mu zgotują nowi despoci rewolucyi. Rząd demokratyczny ma w narodzie rezerwy, w patryotyzmie obywateli skarb i arsenał; jak Anteusz, dotykając wciąż ziemi, mnoży swą siłę do walki z wrogiem.

Klęska trzech państw, które reprezentowały w Europie absolutyzm biurokratyczny i reakcję, a zwycięstwo tych, które przedstawiały wyższy od nich stopień rozwoju demokratycznego, nie może przejść bez głębokich śladów. Atoli nadzieje na zupełny tryumf zasad sprawiedliwości nie były uzasadnione. Ludzkość od lat stu z górą nie przeżywała wielkiego przełomu dziejowego i weszła niespodzianie w górne strefy wielkich wydarzeń. Ujrzawszy przed sobą wielkie szczyty, sądziła, że są one tuż, brakło jej poczucia perspektywy; te szczyty dalekich ideałów, wyłaniające się z mgły wśród przełomowych wydarzeń, są to mety, do których ludzkość zbliżać się może zwolna, lecz do których nigdy nie dotrze.

Zasada narodowości, pojmowana jako stanowienie narodów o swym losie, jest istotnie. na naszą epokę, najtrafniejszem ujęciem sprawiedliwości międzynarodowej; znała zresztą tę zasadę i wielka Rewolucja i rok 1848 i Napoleon III. Lecz zastosowanie tej zasady nie zamyka, lecz otwiera dopiero nową erę sporów. Ile jest granic narodowościowych na południu i wschodzie Europy, tyle jest kwestji. Do tego nieraz pomieszanie paru narodowości na jednem terytorjum czyni niepodobnem tworzenie odrębnych państw narodowych. Koniecznośc gospodarcza, naprzykład, sprawa dostępu do morza, wymaga nieraz pewnych odchyleń od zasady narodowości, bo w przeciwnym razie: summam ius est summa iniuria. Wreszcie, wielkie imperya światowe nie mają zamiaru stosować prawa narodowości w całej jego rozciągłości we własnych posiadłościach. Frazes o upadku imperjalizmu na ziemi był powtarzany bez poważnego zastanowienia się nad istotnym stanem rzeczy.

Nowy ład międzynarodowy miał opierać się obok zasady narodowości, na utworzeniu najwyższej instancyi międzynarodowej, mającej odtąd rozstrzygać wszelkie konflikty państw i narodów. W tym względzie również po okresie optymizmu przyszedł z kolei sceptycyzm i dziś już często o Lidze narodów mówi się z ironią, jako o narzędziu w rękach neo — imperjalizmu mocarstw zwycięskich.

Wbrew poglądom krańcowym, sądzę, iż w skutku tej wielkiej wojny ludzkość uczyni duży krok naprzód na drodze istotnego urzeczywistnienia prawa międzynarodowego. Do-

---

nia 1918 roku ukazała się korespondencja z Warszawy, recytująca dobrze nam znane skazki. Oto, zejdzie się trzech ludzi—są trzy partje. „Polityczne spory, wywodzi autor, były zawsze nieszczęściem Polaków łącznie z brakiem zmysłu do porządku prawnego i małem uzdolnieniem do pracy. Z przykrością muszę powiedzieć, że im dłużej przebywa się między tym narodem, tem silniej wątpi się w jego przyszłość". Dopiero okupanci niemieccy wnieśli pewien brzask na ziemię helotyzmu i wstecznictwa, przedewszystkiem zaś—dosłowne powtórzenie—„odwszyli całą ludność". Polacy są dużemi dziećmi i mają naiwne poglądy. Po upadku Rygi pewna wielkość polska wyraziła radość z powodu wydarzenia przed szefem niemieckiego sztabu generalnego. Ten, dziękował za życzliwość i nieoczekiwanie zauważył: „Tak, sądzę jednak, że Ryga powinna się znaleźć na terytorjum samodzielnej Polski". W innem pisemku „Nordre Birks Tidende" mniemano, ze trudność uregulowania sprawy polskiej polega głównie na braku „uzdolnienia politycznego Polaków". Polska nie wychowała nigdy żadnego męża stanu, niema umysłu praktycznego i bujając w sferach oderwania nie zdobyła się na stworzenie handlu i przemysłu. Naczelny organ socjalistów, stojących na platformie niemieckiej „Socjal Demokraten", prowadził przeciw nam podjazdową walkę a ich kulminacją były artykuły Aksel Schidta, podyktowane czy podszepnięte przez pruskich urzędników, burmistrzów, oficerów, przez zbiorowy chór hakatystów i i alldeutschów.

Przykłady powyższe wyjęte z wiązanki innych świadczą, że w ramach duńskich wytworzyło się przymierze zaczepno-odporne między sjonistami przeważnie rosyjskiemi, a sferami nadsprewskiemi, przymierze oparte o przemożne środki i nieprzebierające w sposobach walki, zapuszczające sieci głęboko i daleko, aż poza Atlantyk, aby oddziałać na amerykańskie koła finansowe i polityczne. Niewątpliwie kuźnia bolszewicka zbudowana przez emisarjuszy rosyjskich, z przymieszką polskich, wycisnęła piętno na wszelkich zamierzeniach przeciw naszemu społeczeństwu, a przynajmniej dęła w żagle wrogiej antipolskiej agitacji. Bo zapominać nie należy, że w Kopenhadze gotowali się do czynu Fuerstenbergi, Kozłowscy, Leszczyńscy, ciagnieni na pasku Helphanda — Parvusa, pośrednika w sprowadzeniu z Szwajcarji przez

póki trwa konferencja pokojowa, zastępująca tymczasem najwyższą instancję międzynarodową, narody czują się bezpieczniej, lecz gdy konferencja się rozejdzie, wówczas narody ujrzą przed sobą widmo powrotu stosunków przedwojennych, pokoju zbrojnego, stałej groźby wojny. Potrzeba zapewnienia mocy istotnej prawu narodów będzie odczuwana żywiej, niż dziś, mara straszliwej wojny, niedawno przeżytej, będzie tu nieustannym bodźcem; gdyby stan dawny miał powrócić, praca cywilizacji byłaby podobna do trudu mrówek, wznoszących pracowicie na rozstajnych drogach mrowisko, skazane z góry na niechybne stratowanie. Natura stosunków międzynarodowych na polu politycznem i gospodarczem czyni coraz bardziej możliwem działanie instancji międzynarodowej, posiadającej moc egzekutywy. Wojna przyszła byłaby jeszcze bardziej, niż ostatnia, zależna od stanu gospodarstwa narodowego, a rosnąca zależność gospodarstw narodowych od rynku światowego pod względem dostawy surowców, przetworów, kredytu da możność zatamowania jeśli nie wybuchu, to dłuższego trwania wojny, przez represje natury pokojowej, zanim dojdzie do ostatniego środka—do interwencji orężnej międzynarodowej.

Bądź co bądź, zadaniem narodów spokojnych, a zagrożonych, jak Polska, jest rozżarzanie tlejących iskier prawa międzynarodowego, a więc wzięcie udziału czynnego w Lidze narodów i obrona tam zasady równouprawnienia narodów; jeśli w imię interesów wszechludzkich mają być państwa niepodległe poddane rygorowi przepisów powszechnych, powinny mieć postanowienia te cechę prawa, obowiązującego wszystkie narody, nie zaś ograniczeń wyjątkowych, dotykających szczególnie niektóre państwa, jak, naprzykład Polskę w sprawie mniejszości narodowych. Ta instancja międzynarodowa zwierzchnia powinna rozstrzygać spory narodów stosując stopniowo i w miarę potrzeby rozjemstwo, represye pokojowe, środki orężne.



Niemcy w zaplombowanych wagonach Lenina i Trockiego. Trzy informacyjne żydowskie biura, redaktora żargonowego „Wochenblattu“ Brendera, Grossmanna i Bernsteina, rozbiły namioty na gościnnym bruku, spławiając swój towar do Stanów Zjednoczonych, gdzie uchodził w redakcjach anglo-saskiej semickiej i żargonowej prasy, za materjał bardzo pewny, niemal półurzędowy. Całe szkodnictwo tej niebezpiecznej roboty ujawniło się w czasie październikowych i listopadowych zajść we Lwowie w 1918 roku i w kilku innych miejscowościach. Wówczas cyfra pomordowanych w samym grodzie nadpełtwiańskim dosięgła w relacjach duńskich do 3000 a to dzięki pokątnym dostawom sjonistycznym, przybranym w formę depesz 3 najpoważniejszych rzekomo źródeł. Agitatorzy rosyjsko-żydowscy Mockin, Grossmann i t. d. przy udziale kopenhaskich powag, jak profesora Simonsena, inscenizowali wiece, uderzali w dzwon alarmowy, otwierali rubryki w Wochenblacie na „ofiary pogromów w Polsce“, Uzdolniony powieściopisarz, Henri Natansen. wypowiedział na jednem ze zgromadzeń podobnego rodzaju mowę, protestującą przeciw pozbawianiu życia bliźniego i okadził mirrą martyrologją dziejową swoich współwyznawców. Temi ścieżkami i ścieżynami kroczyły nurty agitacyjne na zachód do Paryża, Londynu i amerykańskiej Unji, wywołując głębokie wrażenie, krzyk oburzenia i tragiczną zgrozę. Dosadnie obnażył wartość całej roboty i zamierzeń moment masakry izraelickiej ludności na Ukrainie przed kilku miesiącami. Członek narodowej Rady żydowskiej w Kijowie, Majer Grossmann, przywiózł wiadomość. że w pień wycięto przeszło 60.000 żydów. Zaledwie dwa pisma podały o fakcie krótką, suchą notatkę. Żadnego huku, żądnego oburzenia nie było, ba, na nadmienionych wzmiankach zakończyło się uświadamianie opinji publicznej. Hamulec wstrzymujący dalsze rewelacje był zbyt widoczny. Półurzędowe przedstawicielstwo ukraińskie w Kopenhadze umiało za kulisami przepowadzić pakta i zdławić wszelkie dalsze wyjaśnienia. Bo sojusz rusko-żydowski, trzymanie się wspólnego dyszla w propagandzie antypolskiej, zarysowały się zbyt wyraźnie, a z sukursem pośpieszyła mu reprezentacja litewska w postaci komunikatów pełnych czernidła, przekręcań i napaści. Cały aparat działał sprawnie pod niewidzialną wspólną komendą, reżyserującą wy-

WOLNA TRYBUNA.

TRYJALIZM.

P. Jerzy Kurnatowski w swym artykule „Tryjalizm". (Tydzień Polski Nr. 6) przytoczył w sposób zwięzły dane, przemawiające przeciwko tej polskiej polityce zagranicznej, jaką nazywa dążeniem Polski do tryjalizmu, a którąby można nazwać polityką szerszych widnokręgów.

Argumenty te są następujące:

1. Nie należy prowadzić takiej polityki na wschodzie, gdyż w przyszłości polityka taka odwróciłaby uwagę Polski od naszego stanu posiadania na zachodzie oraz na skutek walk i buntów na Ukrainie osłabiła wewnętrzne siły Polski.

2. Ukraina i Białoruś nie utrzymają się w odłączeniu od Rosji, ani same, ani z pomocą Polski.

3. Polityka szerszych widnokręgów na wschodzie przedłuży wojnę obecną i grozi w przyszłości odwetem ze strony ekspansji Rosji.

Przytoczona argumentacja, będąca zarazem uzasadnieniem tej polityki polskiej, jaka uprzednio była reprezentowana w Paryżu a obecnie jest polecana przez prawą stronę Sejmu, szwankuje pod wielu względami.

Przedewszystkiem zupełnie ignoruje ona to, za czem przemawiają liczne dane, że jedno z najbardziej decydujących w polityce światowej mocarstw dąży do tego, aby niebezpieczne dlań państwo rosyjskie zostało sprowadzone do granic etnograficznych i tem gruntownie unieszkodliwione. Znaczy to, że postulaty zwolenników stanowiska pana K. wchodzą w kolizję z interesami owego mocarstwa. Ewentualne pójście Polski za temi postulatami mogłoby pociągnąć za sobą dla nas liczne dalsze trudności ze strony owego mocarstwa — do odrywania Galicji Wschodniej od Polski włącznie. Wspomniany bowiem interes owego mocarstwa powie, że skoro w obecnym okresie czasu od Rosji Ukraina odpaść nie może, a bez tego nie ma gruntownego unieszkodliwienia Rosji, to należy w Galicji Wschodniej stworzyć ośrodek dla rozwoju ukrainizmu, aby umożliwić w przyszłości to odpadnięcie.

Zwolennicy bronionej przez pana K. polityki nie liczą się także z innym ważnym względem— przedewszystkiem charakteru psychologicznego, że najpewniejszym zabezpieczeniem od czyjejś zemsty lub zaborczości jest, gdy odnośny sąsiad czy przeciwnik pozbawiony jest sił, potrzebnych do wywarcia zemsty lub wykonania planów zaborczych, normalnie zamiary i plany ludzkie nie powstają, gdy niema możności ich zrealizowania.

Natomiast każdemu, znającemu Rosję, wydać się musi wprost niezrozumiałem mniemanie, że wielkie państwo rosyjskie, mające siłę po temu, nie sięgnie po „prarosyjskie": Chełmszczyznę i Galicję Wschodnią.

Nadto zwolennicy stanowiska, bronionego przez pana K., nie dość uwzględniają fakt, że w inte-

---

bornie bitewne plany. Dla przyszłego historyką wdzięcznem pozostanie zadaniem wykrycie czarodziejskich źródeł z których czerpano pokrycie bardzo znacznych wydatków sojuszu, ich rzeczą będzie stwierdzić, czy klawiszów nie naciskały dłonie nowoczesnych Bucholzów i Luccesinich. Doszło wreszcie do tego, że jak dowcipnie wyraził się prof. wszechnicy kopenhaskiej, Rożniecki, w artykule zatytułowanym „De judaeis nil nisi bene", wolno było w prasie duńskiej jedynie dobrze pisać o izraelitach, a, zachowaj Boże, imać się skalpela krytyki. Zgęszczona przez napływowe obce żywioły atmosfera udzieliła się potrosze i konserwatywnemu odłamowi prasy, zresztą nam życzliwemu. W poważnym dzienniku „National Tidende" postawił znany profesor uniwersytetu, Dr. Birck, pytanie, czy Europa zechce zaryzykować aby naród „z tak wojowniczą przeszłością i z liczną bitną szlachtą żył samodzielnem życiem, czy właściwem jest oddać polskiej szlachcie władzę nad chłopem, który dotąd miał najlepszych obrońców w cesarzach Rosji i Austrji". Dyrektor Akademji ludowej, ceniony pisarz Wilhelm La Cour, czarnemi barwami malował położenie Rusinów w Wschodniej Galicji i podkreślił obawą, że w razie zwycięstwa mocarstw centralnych „polska tyranja będzie dalej trwać",

Ogół społeczeństwa nie naginał się do tych zgrzytów prasy. W pamięci starszego pokolenia tkwiła wspaniała odezwa kopenhaskich studentów z 1863 r. „Polacy, nasze uczucie dla was jest podwójnie silne, wypływa bowiem z podwójnego źródła: z uznania krzywdy, którą cierpieliście ii z świadomości, że uwolnienie i wskrzeszenie Polski przyczyni się do bezpieczeństwa naszego własnego kraju i przyszłości skandynawskiej północy". Młodzież nie obawiała się napiętnować naonczas tyrańskiego rządu rosyjskiej Polski, tudzież podnieść: „Żaden kraj i żaden naród nie męczył się tyle w wieku, nazywającym się wiekiem oświecenia, co Polska", W spadkobiercach tego szczerego pokolenia snuje się po dziś dzień legenda, że Dania drogo opłaciła swoje sympatje polskie w 1863 roku i politykę ówczesnego premjera Halda i jego przezacnej małżonki. On protestował wprost w Petersburgu przeciw barbarzyńskiemu uśmierzaniu powstania, ona szeroko zakrojoną akcją składkową, starała się kroplę ulgi przynieść uczestnikom nierównej walki. Nie zapominała rzekomo Rosja o tych giestach i czy-

resie dwóch potężnych rywali Rosji będzie leżało popieranie Polski w razie niebezpieczeństwa ze strony ewentualnej przyszłej ekspansji Rosji, o ile utrzymamy się na linji wspólności naszych interesów politycznych i terytorjalnych w stosunku do Rosji z takimi interesami owych państw.

Oprócz wymienionych trzech braków stanowiska politycznego, bronionego przez pana K., argumentacja tegoż zdradza także niektóre inne błędy.

Oto co do uzasadnienia historycznego osamotnienia szan. autor zapewne zgodzi się z tem, że z tego, co dawniej było, jeszcze nie koniecznie wynika, że tak samo być musi i w przysłości. Historja, jako magistra vitae, w stosunku do naszej polityki ukraińskiej może równie dobrze nam powiedzieć: pamiętajcie, abyście, niosąc na wschód pochodnię kultury, wolności i własnego zabezpieczenia, nie zapominali o żywotnych interesach polskich na *Zachodzie* oraz abyście prowadzili to swoje dzieło na wchodzie roztropnie, z myślą o ekonomji sił, trzeźwem liczeniem się z warunkami a unikaniem doktrynerstwa bądź fanatyzmu. Zresztą kto jest przeciwny wysyłaniu do ewent. uwolnionych od Rosji krajów naszej inteligencji dla pomocy w administrowaniu temi krajami, temu można przedstawić do wyboru ewentualność, że w tej pomocy polityczno-personalnej tym krajom możemy się łatwo wyręczyć innymi, np. Anglikami, Czechami i t. p. ku wielkimu tych ostatnich zadowoleniu...

Drugie twierdzenie autora, że „Ukraina" i Białoruś nie utrzymają się w odłączeniu od Rosji ani same, ani z pomocą Polski" o ile w owej pierwszej części („nie utrzymają się same"), zwłaszcza na najbliższą przyszłość wydaje się dość prawdopodobnem, o tyle w swej części drugiej (nie utrzymają się ani z pomocą Polski) musi być uznane conajwyżej za równie prawdopodobne, jak i pogląd przeciwny. Nie potrzeba chyba dodawać, że poparcie przez Polskę postulatów zarówno białoruskich jakoteż ukraińskich — powinno być uzależnione od całkowicie wystarczających gwarancji i zabezpieczeń, że raz odłączone od państwowego organizmu rosyjskiego kraje te nie podążą z powrotem do zlania się z tym organizmem i oczywiście, że nie zwrócą się przeciw Polsce. Czy takie zabezpieczenie dać może „tryjalizm", to sprawa inna.

Wreszcie argument 3-ci pana K. jest w części słuszny. O ile bowiem twierdzenie o przyszłym odwecie Rosji, jak o tem wspomniano wyżej, nie jest miarodajne, o tyle jest słuszny pogląd, że nasze żądania obszerniejsze trudniej zyskają zgodę bolszewików i mogą nawet nieco przedłużyć obecną wojnę. Ten wzgląd jednak jest drobny w porównaniu ze wszystkiemi innemi, jakie tu dla polityki polskiej powinny być miarodajne.

Do uwag powyższych dołączę jeszcze następującą—historjozoficzną.

Potępia się dość powszechnie dawną naszą ekspansję na wschód. Zapomina się atoli o jednem dodatniem następstwie—tej ekspansji. Gdyby nie ona, mielibyśmy obecnie prawdopodobnie naszą granicę z Rosją na linji Sanu i może Wisły po Warszawę i po prawej stronie linji stykalibyśmy się prawdopodobnie z jednolitą masą blizko dwuchsetmiljonowego narodu rosyjskiego. Fakty historyczne należy oceniać na zasadzie nie tylko ich stron ujemnych, ale także i poznanych dobrze stron dodatnich.

Dr. Piotr Pręgowski.

---

nach i pozostawiła Danją osamotnioną, wystawioną na napad prusko-austrjacki w 1864 roku. Nad tem nikt nie zastanawiał się, że Aleksander II przefrymarczył Szlezwig i Holsztyn wujowi swemu Wilhelmowi I-mu, byle tylko uzyskać poparcie Wiednia i Berlina dla zgniecenia insurekcji nad Wisłą. Legenda miała jednak to znaczenie, że uczyniła pewne koła duńskie nadzwyczaj powściągliwemi w sprawach polskich w obawie, że historja powtórzy się, oczywiście dopokąd Rosja, jako Rosja, istniała i żaglowała pod banderą caratu.

Mimo to, dobroć, łagodność wielkich mas, nie uderzających w strunę aktualnej polityki, tylko żyjących bytem codziennym, odbiła się w akcji składkowej na ofiary dotknięte klęską wojny w Polsce. Akcja owa zainicjonowana w 1916 roku przez Julję hr. Halka-Ledóchowską, delegatkę Komitetu w Vevey miała doniosłe znaczenie, nietylko materjalne. Ponieważ prasa mało i niechętnie w pierwszych okresach zawieruchy światowej zajmowała się Polską, aby nie wyjść ze szranków neutralności, wszelkie przypominanie Ojczyzny naszej i budzenie sympatji dla niej nabierała znaczenia łamacza lodu, torującego szlaki do wejścia na cieplejsze prądy. A pod tym względem była Ledóchowska z Bożej łaski powołaną osobą, agitatorem prześwietnym, wartością całkiem niepospolitą. Prelekcjami swojemi, przypominającymi mocno migawkowe zdjęcia, przesuwającemi obrazy z dantejskiego piekła, umiała dzięki warunkom głosowym i cyzelaturze słowa uwięzić audytorjum, wprowadzić je na wzgórza mąk i na doliny krwi, umiała rzucić oniemienie na salę wycisnąć z piersi głośny szloch, a z oczu sznury lez. Złożywszy Komitet specjalnie duński pod przewodnictwem apostolskiego wikarjusza von Eucha i protestanckiego prymasa Zelandji, Ostenfelda, z udziałem ożywczego ducha przedsięwzięcia profesora Ellingera, zapoczątkowała dzieło dodatnie i w wynikach znaczące. Zebrano na ogół w gotówce, odzieży i t. d. przeszło miljon franków w kraju zaledwie trzechmiljonowym. Już nie ta pomoc miała wagą symboliczną, tylko odezwy, artykuły i listy z jakimi jednostki czy instytucje spieszyły, aby dorzucić grosza do ofiarnej zbiórki. Panie ze wszystkich warstw zadawały sobie niemało trudu w samarytańskim wyścigu. Sprzedawały nasze karty illustrowane, kartony, książki, ogłaszały płomienne, serdeczne apele. Okrzyk „nieszczę-

Nowe perspektywy w życiu Zachodu.

Pojęcie wojny, jako zamętu, jako wiru, do którego wpływają tysiące prądów, lecz w którym każdy prąd zanika, musiało się stać z konieczności źródłem nadziei i wiary, że tylko te elementy które pozostaną na uboczu, powyżej lub obok,—ocaleją i zachowają swą samoistną, płodną siłę, że tylko one będą miały moc i żywotność niezbędną dla zrodzenia, wytworzenia i ukształtowania nowej harmonji, z chwilą gdy skłębione i skłócone czynniki starego życia dokonają i dopełnią posępnej, tragicznej akcji samozniszczenia.

„Au dessus de la mêlée la vérité triomphe!“ wypisywał już w roku 1915 na czele swej programowej książki twórca idealnego „Jean Christoph'a“ Romain Rolland, wielki „pomniejszyciel“ wojny narodów, wielki kapłan wiary w niezniszczalność arki Noego wśród potopów historji świata.

La vérité—prawdą, wartością absolutną niezmienną i trwałą, nieprzerwaną nicią konsekwentnej ciągłości, spajającą początek i koniec, alfę i omegę dziejów wszechżycia, — miało być właśnie to, co p. Romain Rolland i ci, którzy się do niego przyłączyli lub przyłączyć mieli. unieśli pieczołowitość z zamętu i na własnym sercu ogrzali i przytulili wśród czystej atmosfery neutralnych pagórków i szczytów.

P. Romain Rolland z początku był nieomal sam, gdy skierowywał do Gerharda Hauptmanna swą potężną filipikę w obronie Reimsu i świętości belgijskich pamiątek, gdy nieco później gromy rzucał na pierwszych francuskich czy angielskich „jusqu'au bout'istów“, na pierwszych włoskich czy bałkańskich interwencjonistów. Lecz okrutne, często niepojęte fakty poczęły coraz to nowych ludzi uczyć wiary w bezpłodność tytanicznych zmagań. W dwa lata po pierwszym wystąpieniu Romain Rollanda z kagańcem międzynarodowej i międzyepokowej prawdy ponad zamętem świata, najzagorzalszy z włoskich „interwencjonistów“ wybitny Wilhelm Ferrero odwiedzał najpierw francuskie, później włoskie linje bojowego frontu. Kończąc długą serję poważnych, objektywnych artykułów, publikowanych na łamach zapalczywego „Secolo“, przedstawiał wybitny historyk zakończenie wojny światowej jako moment, gdy „zwycięzca padnie śmiertelnie wyczerpany przy zwłokach zwyciężonego“.

Romain Rolland gromadził obok siebie coraz to nowych i coraz to bardziej różnorodnych adeptów. W Niemczech, na które rzucił pierwsze zasłużone gromy i które nawet w jego pojęciu były głównym choć nie jedynym sprawcą wojny,—w Niemczech Tirpitz'a i Bethmann-Hollwega odnajdywał francuski wielbiciel Goethego i Beethovena całą plejadę „młodych“, którzy z frontowych okopów, ponad narody i ponad ich bagnety, wznosili płomienny okrzyk niezłomnej wiary w niezniszczalność międzynarodowego humanitaryzmu.

śliwa Polska“ rozlegał się hen, na wyspie Fyn na Islandji, na Langdlandzie, na zielonych polach z bieluchnemi domkami lub chatami, pokrytemi strzechą, a tak żywo przypominającemi nasze. Zdarzało się niejednokrotnie, że wieśniak wyciągał korony i prosił o przesłanie ich dla biednych kmiotków polskich. Powiedzenie „nieszczęśliwa Polska“ spopularyzowało się, przeniknęło w masy, wcisnęło się do prasy. Nie uchylał się nikt od pomocy dla bliźnich, a nawet organiści urządzali koncerty kościelne, jak np.; w Vejle. Matki duńskie czuły z matkami polskiemi, i to może był najwyższy i najdoskonalszy tryumf. Rozstajne drogi między agitacją prasową, prowadzoną przez napływowych szkodników, a zbiorową duszą społeczną, uwydatniły się zbyt wyraziście. Że pojęć o naszych okowach i wegetowaniu nie uświadamiano sobie, przypisać należy brakowi dostatecznej informacji przedwojennej, brakowi dzieł odpowiednich, i czujności propagandy prasowej.

P. E. PAVOLINI.

Z aforyzmów staro-indyjskich.

Można bronić się od ognia, wodą; od palącego słońca, parasolką; gdy słoń rozszaleje, zmuszamy go do posłuszeństwa bodźcem, a także dajemy kije upartym krowom i osłom; przeciw chorobom mamy księgi lekarskie; przeciw truciznom różne czary; księgi prawa zaradzają wszystkiemu; tylko przeciw głupiemu pomocy niema.

21(6348).

Tutaj słodki dźwięk lutni, tam płacz i wyrzekanie; tutaj rozmowa uczonych, tam kłótnia pijaków; tutaj śliczna kobieta, tam ciało zniekształcone starością i chorobą; nie wiem, czy świat jest zrobiony z ambrozji, czy z trucizny.

10(1989).

Dobrodziejstwo uczynione człowiekowi przewrotnemu staje się nam szkodą; bowiem mleko, które dajemy wężowi, powiększa jego truciznę.

24(7482).

Gość, dziecię, król i kobieta nie kłopoczą się o to, czy co jest, czy czego niema; ale zawsze mają jedną śpiewkę; „Daj mi! Daj mi!“

1(133).

Autor „Jean-Christoph'a“ jest metafizykiem w literaturze i jest idealistą w polityce, jest może także i imposybilistą w życiu. Obok mistrza-kapłana stawali uczniowie—realizatorzy, którzy z ochotą i nieraz z godną uwagi umiejętnością podejmowali się zadania praktycznych zamierzeń, prób i przygotowań. On chronił i podsycał ocalony płomyk świętego znicza Ludzkości, oni wynajdywali i oporządzali placówki dla pierwszych zarzewi na czas powojennego opadnięcia wód i zniwelowania terenu życia.

Obok Romain Rollanda, stał Henryk Guilbeaux. Pan Guilbeaux zapowiadał się wówczas jak najgodniej. Ci, którzy lata wojny przepędzali w Genewie, nie mogli nie zwrócić uwagi na wiecznie, w każdym punkcie miasta obecną i ruchliwą postać, jak gdyby wykrojoną z któregoś z opowiadań o politycznej cyganerji lat czterdziestych ósmych. W ruchach Henryka Guilbeaux przebijała zda się płomienna gorączka owocnego czynu, w małych jego oczach świecił blask świeży i młodzieńczy, jak gdyby w nich nosił p. Guilbeaux całą nową wiosnę ludów dla zmordowanej ludzkości.

W imieniu Romain Rollanda zakładał p. Guilbeaux miesięczniki i publikował broszury, zasilał i inspirował dzienniki, organizował i pouczał adeptów, nawiązywał stosunki ze wszystkiemi możliwymi sojusznikami i współwyznawcami, z socjalistami i z filantropami, z humanistami i z racjonalistami, z mistykam i z demokratami. Znał hrabiego Fitz-James i mister Forda, lecz znał także Lenina-Uljanowa i Bronsztejna-Trockiego.

Wobec religijnego, zbożnego zachowania świętości i czystości idei, wobec starannego, sumiennego przygotowania terenu pod jej wykwit i rozszczepienie, wobec opanowania wszystkich możliwych punktów oparcia, wszystkich podpór i ostoi w miarę jak się one wyłaniały z kłębiącego się bezładnie zamętu krwawych bojów—wobec tylu danych i tylu przezornie zabezpieczonych szans i prerogatyw—chyba właśnie tam a nie gdzie indziej, chyba właśnie u owych różnorodnych wyznawców niezmiennej i niezróżniczkowanej w swej istocie Ludzkości należałoby szukać podstaw i programu, mocy i żywotnej myśli dla nowych form i kształtów życia na Zachodzie.

* * *

W zeszłym miesiącu wydał p. Romain Rolland w Paryżu medytację poetycko-historjozoficzną, zatytułowaną „Liluli“. Krytyk z „Temps“ Paweł Souday określił rzecz w paru słowach: „Liluli jest to rodzaj djalogu filozoficznego, w którym p. Romain Rolland, zniechęcony do wszystkiego nawet do nadziei, afiszuje pesymism jak najgruntowniejszy“.

Cóż się stało ze zniczem ludzkości, wypieszczonym i wypielęgnowanym na szwajcarskich wyżynach?

Pan Guillaux zaprzedał się agentom ostatniego pruskiego króla. Rosyjscy wyznawcy międzynarodowej idei pojechali w pruskich wagonach rozniecać rzeź socjalną na Wschodzie. Pan Romain Rolland po długim wyczekiwaniu, po kilku jeszcze podpisach, położonych uprzejmie pod odezwami nawołującymi w „Humanité“ i gdzieindziej do „spiesznego“ przygotowywania gruntu dla Międzynarodówki inteligencji, — opublikował w stolicy zwycięskiego mocarstwa filozoficzną epitafję dla swej śmiertelnie powalonej wiary w wiecznie tryumfujące piękno, w logiczny sens i w niezmienną w swej istocie wartość wszechżycia.

Życie jest w „Liluli“ uosobione jako monstrum bezkształtne i bezgłowe,—coś nieujętego i nieokreślonego, co z potwornej nieforemności bestjalnego cielska rozwija i rozciąga w wężowy wirowaty skłęb krwi i pyłu. Natrząsa się nad odrażającym potworem sarkastyczny, płytki, błazeński Polichinelle. Życie na to też tylko zasługuje.

Wszystko — co niegdyś Romain Rolland czcił i ubóstwiał, wszystko co pielęgnował i zazdrośnie chronił, w „Liluli“ zostało zohydzone i unicestwione, odarte z czaru i z uroku. Miłośc, tak pięknie apoteozowana w „Jean Christophe'ie“, występuje w „Liluli“ jako mały płaczliwy półgłówek, obojętny na wszystko co przemija, sam krótkotrwały i przemijajacy, a piękny tylko we wspomnieniu. Pokój jest wypchaną marjonetką. Wolność dzierży w ręku bat i kajdany i woła zziajana: „Hej naprzód obywatelu! Postępuj albo zdychaj ośle!“. Równość potrząsa wielkimi nożycami kata, okrawa, skraca, przycina wszystko, co przekracza miarę. Braterstwo jest kanibalem. Przyboczny kapelan wskazuje mu *skrupulatnie wszystkich tych, którzy nie są braćmi, aby ludożerca mógł ich pożerać bez* grzechu.

Młodzieńczy świadek powszechnego upadku, piękny Altair zapytuje rozpacznie: Po co żyć? Liluli, — złudzenie odpowiada: Dla mnie. Piękna w swym nieprzepartym uroku nimfy à la Boticelli, pieściwa ułuda pociesza z łatwością urodziwego młodzieńca, tłomaczy mu, że wszystko co widział było tylko złym snem; lecz budzi go do życia jedynie po to, aby go wydać na łup Molocha wojny i rzezi.

Każde przejęcie się pięknem złudzeniem prowadzi z konieczności do krwawych starć na scenie realnego życia. Im poteżniejsze złudzenie, tem krwawszy konflikt w następstwie. Takim jest historjozoficzny dylemat Romain Rollanda lat 1920-ch. Obraz wojny w „Liluli“ odpowiada mniej więcej pojęciom autora „Jean Christopha“ z 1914 czy 15 roku. Tylko że tym razem wszystko zapada się w zamęcie. Nawet sarkastyczny Polichinelle, który „przezorny, przezorny tak jak jego przodkowie, wielcy Polichinelle, mistrze wolnej ironji i śmiechu, Erazmy i Voltairy“, trzyma się zawsze zdala od niebezpiecznych zamętów, — nawet i on ginie, powalony odłamkami gruzów. Wszystko co miało pozory jakiejkolwiek wartości czy cnoty zanika, zapada się w odmęt bezpowrotnie. Wśród powszechnej ruiny rozpoczyna się na wieki panowanie zła, odartego z osłon i fałszywych blasków.

Znicz na sercu zazdrośnie chroniony zagasł aż do ostatniej iskierki. Bolszewizm zabił wiarę Romain Roland'a w promienność losów ludzkości. Wojnę o prymat narodów zastąpiono wojną o prymat klas lub może o prymat sekt. Wszystkie te elementy żywotnych sił, które wysunęły się poza nawias zamętu ludów, rzuciły się, jak gdyby fatalnem, żywiołowem parciem wiedzione, w odmęt socjalnych gwałtów i rzezi.

* * *

Nie tylko Romain Rolland dojrzał ponure zapowiedzi królestwa zła i grozy w przejawach życia dzisiejszego. Coraz częściej te z czasopism Zachodu, które chcą się zajmować t. zw, głębszą stroną życia, zwracają uwagą na symptomy prawdziwie zastraszającego zjawiska, na to, jak resztki przez wojnę oszczędzonej energji wyładowują się najczęściej i najchętniej w kierunku zadowolnienia bestjalnych lub zdeprawowanych żądz i instynktów. Czyżby istotnie prawdą był romain-rollandowski dylemat, że im potężniejsze idealistyczne złudzenia, tem potworniejsze ich realno-życiowe oddźwięki. Rosja była klasycznym przykładem. Dzisiaj znowu zdaje się wyłaniać przykład nowy, może jeszcze bardziej posępny, choć w pozorach daleko mniej zastraszający. Coraz częściej zajmuje się francuskie czasopiśmiennictwo ponurymi, krwawymi przejawami wewnętrznego życia Irlandji Nazywają ją już „czerwonym“ Erynem.

Jak Rosja, jak Irlandja, jak może wiele innych krajów, także i Niemcy przechodzą okres swoistego bezładu i rozprzężenia. „Niemcy, na których poranionem ciele, jak na ciele trędowatego, z każdym dniem nowy wrzód wywiązuje się i krwawi, których żołnierze w biały dzień na pełnych ruchu ulicach wczoraj rozkradzione towary, djamenty i perły przechodniom sprzedają, głodne i tańczące, jęczące i szulerujące wynędzniałe i strajkujące, świadomie w chaos bezładnego bolszewizmu staczające się Niemcy muszą wyzdrowieć, nie mogą stanowić przez wieki wieków stale rozkładającej się rany w samym sercu Europy. Poprzez kanały i przez stoki górskie, niebawem również i przez oceany, rozpłynie się trucizna naokół“. Skoro groźnie ostrzegawcze słowa Maksymiljana Hardena, wypisane właśnie przed rokiem na łamach berlińskiej „Zukunft“ odnoszą się — dziś jak i wczoraj — nie tylko do samych Niemiec, tem groźniejszem naturalnie staje się niebezpieczeństwo, tem większego obszerniejszego znaczenia nabiera apel niemieckiego publicysty.

I dla Hardena „malaise social“ jest przyczyną zła powszechnego. Lecz niemiecki publicysta zdaje się już natrafiać na sposób wyjścia z groźnej sytuacji. Przez cały ciąg publicznej swej działalności redaktor „Zukunftu“ nie był niczem innem, jak czułą membraną, na której z sekundową nieomal szybkością odbijały się wszystkie prądy, dążenia i nastroje epoki. Dla tego też niezmiernie interesującem jest dzisiaj studjowanie kompletu jego tygodnika z całego ubiegłego roku. Pośród deklamacji, błyskotliwych ubarwień i częstokroć nawet wprost karykaturalnych wypaczeń można tam bądź co bądź wyłowić coraz to konkretniejsze ślady wielkiej tendencji, która jedyna dziś w młodej Europie znajduje wyjście z okrutnego dylematu, powalającego marzycieli i filantropów, idealistów i poetów, a wydźwigującego bandytów i terorystów, spartakusowców i bolszewików. Tendencja kiełkuje i nurtuje w całej Europie, choć w Niemczech znajduje swój wyraz najradykalniejszy, najbardziej krańcowy, nieraz wprost już gwałtowny i bezwzględny. Dwa punkty określają w przybliżeniu jej bardzo jeszcze niekonkretny program. Pierwszy — to ustalenie takiego ustroju, któryby zabezpieczył ludzkości elementarną łatwość powszedniego życia i położył kres bezustannemu absorbowaniu duchowych mocy przez wymogi i konieczności walki o byt. Drugi—to wyłączne i bezwzględne oddanie się życiu ducha, przeniesienie w dziedzinę tego życia wszystkich ambicji, aspiracji, walk i inicjatyw, które dotychczas krwią zalewały planetę. Skoro w życiu materjalnem wszystko się wypacza, bestjalizuje i mechanizuje, pozostawmy więc maszynę jej własnemu, swoistemu, małostkowemu i zegarkowemu życiu, a sami przenieśmy cały punkt ciężkości w królestwo ideału i ducha: —takiem byłoby hasło programu zarysowującej się dopiero tendencji. Filozoficznie rozwiązuje ono znakomicie dylemat romain-rollandowskiej „Liluli“. Lecz dopiero przyszłe jego rozwinięcie i próby konkretnego przystosowania wykażą, czy będzie ono w stanie uporać się z potężną, wszystko w swój prąd porywającą ruchomością i zmiennością życia,—z tą samą ruchomością i zmiennością, która nie pozwoliła Romain-Rollandom, ani ich Polichinelom zakonserwować w bezpiecznem miejscu ani urojonych zniczów, ani pozornie tak realnych czapek błazeńskich ludzkości.

Lektor.



Sprawy teatralne.

TEATR MAŁY — *„Zakochani“ komedja w 3-ch aktach de Flersa i Caillaveta;* TEATR POLSKI — *„Pygmalion“ sztuka w 5 aktach B. Shawa.*

Przewodniej myśli w doborze sztuk, wystawionych od początku sezonu w Teatrze Małym doszukać się trudno. Podejrzenie, że kasa układa tam repertuar, także chybia. Powiem wręcz: tej myśli przewodniej wcale niema. Gra się sztuki wedle tego jak je fala przyniesie, lub kaprys reżyserski czy też wzgląd na kombinacje obsadowe w Teatrze Polskim zadecyduje. Tak naprzykład wypłynął „Oficer gwardji“ najbanalniejsza i najsłabsza — wbrew głosom prasy — sztuka, a raczej sztuczka Molnara. Jednem tylko ratuje sie ta sztuczka; popisem gry, który nastręcza aktorowi. Co prawda również gry więcej transformacyjnej, kuglarskiej niż twórczej. Ale... ale „Oficer gwardji“ miał przynajmniej tę zaletę, że był starannie wyreżyserowany i grany. Więc jeszcze czysto sceniczne, aktorskie powody były reprezentowane dostatecznie w koncercie gry Leszczyńskiego, Mrozińskiej i Stanisławskiego.

Z właśnie wspomnianych powodów jeden tylko — kreacja Kamińskiego—usprawiedliwić mógł wystawienie następnej sztuki t. j. „Głupiego Jakóba“. Rzecz sama — choć literacko wyborna — była jednak reżysersko-skrzywiona, w grze wyjaskrawiona, zbrutalizowana. Kamińskiemu tylko Siemaszko dotrzymywał placu—reszta ról fałszywie obsadzona i fałszywie pojęta. O „Willi nad Morzem“ pisaliśmy już. Stanowiła ona jako wartość literacka odskok korzystny w stosunku do „Oficera“ — i była wogóle jako koncepcja czemś nowem. Oddychało się na niej powietrzem młodego, świeżego talentu i nowego świata literackiego.

Tem silniejszy kontrast wywołać musiało zjawienie się po tej sztuce „Zakochanych“ de Flersa i Caillaveta, Ani suggestja tych dwu świetnych nazwisk pisarzy, których niepo równanego talentu jestem gorącym wielbicielem, ani protekcja współcześnie najwybitniejszego komedjo-pisarza polskiego, Perzyńskiego, niezapomnianego twórcy „Lekkomyślnej siostry“ i „Aszantki“ — nie wmówią we mnie, że „Zakochani“ są czemś więcej niż farsą i to farsą zarówno w sytuacyjnej fakturze, jak w koncepcji i rysowaniu figur przestarzałą, zbanalizowaną do ostatnich, jeszcze dopuszczalnych, granic przyzwoitości artystycznej. Miałem wrażenie, że patrzę na zmodernizowanego Labiche'a, a nie na tak nowoczesnych autorów rozkosznych „Miłości“, co czuwają, czy też przedewszystkiem „Króla“, „Świętego Gaju“ i t. d.

Ta łączność z Labichem nie przynosi zresztą dyshonoru Flersowi i Caillavetowi, dowodzi bowiem tylko nieprzerwanego dziedzictwa rasowo-francuskiego esprit komedjowego. Jednakże na Labiche'a patrzy się już dzisiaj przez pryzmat kostjumu i to odrazu wprowadza nas w inną atmosferę i inną rzeczywistość, z którą pogodzić się jest łatwiej niż z czemś, co ma mieć rumieńce dzisiejszego życia, a tymczasem chrzęści niemiłosiernie starym papierem.

Można Labiche'a na nowo inscenizować, ale nie można wypożyczać od Labiche'a figur dwu starych kawalerów, ultra dobrego poczciwca, plątanego w sytuacje horendalne i udającego z musu powieścio-pisarza, wreszcie starej garderobianej, recytującej kwestje ról zasłyszanych w teatrze — i wypożyczone te figury drezentować nam, pod nowymi nazwiskami jako uowych niezmiernie interesujących nieznajomych. Takie branie na kawał dobre jest na balu u zbogaconego rzeźnika, czy na jakiejś zapadłej wsi, żyjącej jeszcze przedstuletnią naiwnością, lub w końcu w okropnym dwugroszowym romansie, gdzie „księcia włamywaczy,“ przebierającego się na każdej stronicy za kogo innego, nikt nie może poznać. Niestety my te nowe postaci z „Zakochanych“ znamy i razi nas to tylko, że chcą udawać nieznajomych.

Dalej zaś powodu do wystawienia tego słabego farsiątka nie można dostrzedz chociażby w grze zespołu, czy też w potrzebie dania roli popisowej a właściwej, któremuś z artystów czy artystek. Sztuka grana była ospale, z dawnej spójności—bez interwencji suflerskiej—przedstawień cienia nie zostało. A role poszczególne z wyjątkiem wybornej Słubickiej opracowane były albo niedbale (Ratowski) albo niewystarczająco (Chmielewski) lub wykonane z cyrkową przesadą (Grabowski), czy też zagrane z grubsza, na prędce (Siemaszko). Zupełnie zaś w fałszywy ton uderzyła p. Brydzińska, która tę rolę podobnie przejaskrawiła, jak poprzednio zbrutalizowała rolę Hanki w „Głupim Jakóbie“. I doprawdy tylko pomyłce przypisać trzeba, by role tak różne, w istocie swojej, powierzać jednej artystce, nierozporządzającej jeszcze ani skalą ani umiejętnością wyrobioną gry scenicznej. Nie twierdzę, że p. Brydzińska nie ma talentu. Owszem ma go. Ale dziś — i zdaje się w przyszłości — skala jego będzie dość ciasną, choć intensywną w wyrazistości. Talent taki musi się krystalizować, uczyć — a nie odrazu porywać się na zadania, wymagające wirtuozerji gry. Zwłaszcza, gdy warunki tego talentu nie odpowiadają rodzajowi roli. P. Brydzińska w roli Zuzi krzyczy, grymasuje, i jest raczej nieznośnym podlotkiem, niż energiczną, sprytną, pełną wdzięku dziewczyną, broniącą swej miłości.

Istotnie niemiłe jest zadanie krytyka, który chce być szczerym, tembardziej gdy inni spro-

wadzają z drogi uświadomienia artystycznego, pochwałami nad miarę stylu i prawdy nasze „rozkoszne gwiazdeczki“.

O ileż przyjemniej pisać mi o „Pygmalionie“, granym 17 b. m. w Teatrze Polskim. Najlepsze to przedstawienie, jakie widziałem od dwu lat w tym teatrze. A nie tylko tą względną miarą mierząc świetne, bo godne byłoby poklasku na każdej, najlepszej scenie europejskiej. Całość stonowana starannie; nikt nie raził, nikt nie odbiegał od pojętego i wykreślonego przez reżysera (Bończę) stylu sztuki. A na tym tle koncert, prawdziwy koncert gry protagonistów. Damom pierwszeństwo — więc naprzód o p. Przybyłko. Gra realistycznie i intelektualnie wycieniowana doskonale, każde przejście, każdy najdrobniejszy moment uwydatniony subtelnie, dokładnie, wybornie. Popis. Na roli tej nietylko aktor, ale i krytyk uczyć się może zasad opracowania roli, postawienia jej w typie, i niuansowania. Tętnił w niej życiem charakter człowieka, drżały biciem serca uczucia, wszędzie brzmiał akcent właściwy, słowo i myśl skrzyły się. Jednem słowem postać i gra znakomite. Nie ustępowała jej w niczem gra p. Bończy-Stępińskiego, który w roli nowożytnego Pygmaliona, święcił swój pierwszy, całkowity sukces na scenie warszawskiej. Naturalność, prostota środków tej gry były wzorowe, pełnia wyrazu nieprzewyższona. Bończa w rolę tę wlał tyle temperamentu, że porywał nim, udzielał się sobą widowni. A przytem, choć tworzył człowieka, człowieka żywego, ani na moment nie zatracił tej subtelnej ironji i deziluzji, jaką przepojony jest styl sceniczny Shawa, tak trudny do uchwycenia. Ten djalog paradoksów, zbudowany na przypuszczalnych założeniach, prowadzony nieraz do absurdu, ale zawsze do budowy używający materjału życiowej rzeczywistości stosunków, uczuć i myśli. Otóż djalog Shawa jest najcenniejsrą częścią jego sztuk, trzeba go też z wszystkiemi jego właściwościami oddać— t. j. nie stracić nic z jego intelektualnej, myślowej zawartości i naświetlenia a równocześnie nie zmienić się w maszynkę recytacyjną, lecz pozostać człowiekiem; tylko człowiekiem znajdującym się w szczególnej sytuacji i z szczególnym napięciem myślącym i argumentującym. Tę sztukę posiadł Bończa w roli Pygmaliona nieporównanie i z taką pewnością ją opanował, że nie wahał się przed żadną ekwilibrystyką gestu, akcentu, ruchu, bo tak był pewnym, że doskonale jeździ na tym koniu. Nic wtedy nie wysadza artystę — jak się to mówi — z siodła, a każdy odcień uczucia i wyrazu psychicznego pdpowiadającego myśli i słowu potrafi oddać lub przynajmniej podkreślić.

Trzecim w tej trójce był Jaracz, tak plastyczny i wyrazisty, jak rzadko nawet u tego celującego wyrazistością artysty. Stąd każda napozór ekstrawagancja słowa i myśli—miała mocny, granitowy fundament, w prostej a dobitnej mimice Jaracza, w jego geście, spojrzeniu, ruchu zdecydowanym, suggestywnie rzeczywistym, i w tym arcysuggestywnym akcencie, jaki nadaje słowom, dobywając ich jakby nie z gardła, ale z głębi przekonania, niczem niezachwianego.

Grę tych trojga artystów oklaskiwała gorąco zazwyczaj wstrzemięźliwa publiczność, dając się porywać do braw przy otwartej scenie. Zespołu zaś dopełniały przedewszystkiem doskonała p. Winiarska i równie doskonała p. Górska. Dalej wymienić należy p. Buszyńskiego, Modrzewską, Biernackiego, Munclingrowę i miłą na scenie, jako postać, wdzięk i ton głosu p. Meynę.

Adam Zagórski.

EMIL VERHAEREN.

BANKIER.

On w spłowiałym fotelu chmurny autokrata —
Przygarbiony nad stosem handlowej bibuły —
Z obliczem, które zmarszczki oziębłe zasnuły,
Tkwi myślami nie tutaj—gdzieś na krańcach świata!

Przed nim Colombo, Chiny, Cejlon lub Batawia —
Archipelagi srebrne, góry, oceany,
Gdzie okrętów rój jego kraje słone pjany —
To walczy z nawałnicą, to się w portach zjawia.

Przed nim stacje, w pustyni zagrzebane kirze,
Te wstęgi szyn stalowych, które kładł przez piachy
W krajach, gdzie złoto drzemie, nucą smół zapachy,
Kędy słońce się pławi w zbyt tęgim szafirze.

Przed nim koło pokorne bujnych naftotrysków
I sztalnie czarnych piekieł, gdzie się węgiel kopie
I brzęk jego kantorów, słynnych w Europie,
Brzęk, co mózgi upaja wśród zawiści błysków.

Przed nim władcy narodów podbitych się chylą,
Gdy zechce w dal rozeprze krajów ich granice,
Gdy zechce krwawym buntem zawyją ulice,
Uległe woli tego, który włada chwilą,

Przed nim tej wojny zamęt bez strzałów i dymu,
Którą jak król prowadzi w miast ogromnych piekle,
Zębami martwych cyfer rozgryzając wściekle
Krwawe węzły zagadek Chicago lub Rzymu.

On w fotelu spłowiałym chmurny autokrata
Swem piórem potężniejszem od maczug Attyli
Nawet Losów wyroki na swą stronę chyli,
Aż biała Zgroza trąbi w róg na krańce świata.

O złoto, w różnych krajach piętrzone pomału
I w miastach rozbestwionych, pijanych do szału,
I w siołach, stękających w znojnych prac zapędzie,
I we świetle słonecznem, w powietrzu—i—wszędzie!

O złoto uskrzydlone, złoto fruwające,
O złoto nienasytne, okrutne i mściwe,
O złoto promieniste, w ciemnym wietrze lśniące,
O złoto żywe,
Głuche, zdradliwe!
O złoto starożytne, okraso ziemi chorej
Nadziei kęsem ty i słońca, złoto! złoto!!

On niema skarbów dna i wnętrza,
Może nad wieże się wypiętrza
Szczyt monet, które w stosy kładł!
Na wszystko chłodny, wszechsamotny —
On, jako zdobycz długich lat,
Sącząc wzruszenia pot stokrotny,
Zwierzyłby nieb opiece wiecznej
Dysk starej ziemi podsłoneczny!

Tłumy złorzeczą mu, a każdy pnie się lśniwy
Imienia jego dźwięk jak Mór się wgryza w usta,
Zarłoczność ludzkich serc, jak pożar robaczywy
Przepala ścięgna dusz, lecz jego dusza — pusta.

Jeśli oszuka on, czyż oszukaństwo zraża?
Jutro skrzywdzony już gnie kark u drzwi Mocarza.
Jego potęga, jak wód górskich pęd
Porywa z sobą w wir i męt
(Jak liście krzewy, drzewa skały!)
Bogactwa, skarby, skromne mienia
I grosik mały,
Który bez chwały
Nędzarzy ciułał rój, skowycząc z wycieńczenia.

Tak dławiąc mocy swej potężną Wszech-Niagarą —
Świadom, że rośnie wwyż, skulony i ponury,
Nad stertą suchych liczb, w dym pogrążony chmury
On władca losem państw i kastą królów stara.

(Przełożył L, Choromański,)



VARIA

Zjazd nauczycieli szkół powszechnych.

8, 9 i 10 kwietnia r. b. w sali Tow. Hygienicznego obradował Zjazd Delegatów Związku Polsk. Naczycielstwa szkół Powszechnych. Obrady rozpoczęły się o g. 10 rano zagajeniem i przemówieniami gości — min. Łopuszańskiego, przedstawicieli sejmu, stronnictw, instytucji, stowarzyszeń... poczem uchwalono regulamin obrad, wybrano komisję i przystąpiono do wysłuchania referatu prof. Antoniego Dobrowolskiego: „O wychowaniu obywatelskim w szkole“. Referent w świetnie wypowiedzianym odczycie wskazał na te cechy charakteru, które nas z pośród innych narodów wyróżniają. Jedną z nich jest — uczciwość, powiem śmielej honor uczciwości który sprawia między innemi i to, że mogą zjawiać się wśród nas ludzie, posiadający bezgraniczne zaufanie współobywateli. Silni i wielcy, tym zaufaniem prowadzą oni naród w przyszłość świetlaną. Referat uzyskał ogólne uznanie. Promieniowała z niego czysta i mocna wiara w żywotne siły i zdolności twórcze naszego narodu.

Dr. Henryk Rowid i p. Antoni Klimek w referatach: „Szkoła powszechna i jej nauczyciel“ domagali się od sejmu i rządu, by nie zwlekano dłużej z realizowaniem szkoły powszechnej. Dotychczas jest ona tylko ideją. Ponieważ ideję tę w całej pełni wcielić w czyn będzie mógł tylko nauczyciel inteligentny, domaga się Zjazd, by Ministerstwo W. R. i O. P. dotychczasowy system kształcenia nauczycieli zmieniło na inny. Zamiast 5-letnich sem. nauczycielskich niechaj powstają wyższe dwuletnie kursy pedagogiczne, do których będą przyjmowani słuchacze z ukończoną szkołą średnią ogólno-kształcącą.

Oświata nie może być monopolem partji, która w danym czasie rządy sprawuje, nauczyciel nie służy rządowi a Ojczyźnie, narodowi swemu, dlatego pragmatyka służbowa dla nauczycieli nie może być identyczną z pragmatyką urzędników państwowych.

Kwestja ta, jak i kwestja zabezpieczenia emerytalnego dla nauczycieli i ich rodzin była przed-

miotem referatu posła A. Smulikowskiego. Wszystkie wnioski referatów Zjazd jednogłośnie uchwalił.

W drugim dniu Zjazdu wygłosił referat Zygmunt Nowicki: „Ustrój władz szkolnych i organów samorządu szkolnego w projekcie rządowym, a w projekcie Związku P. N. S. P.“ Referent poddawał pod rowagę sprawy, mające zasadnicze dla oświaty i szkolnictwa znaczenie. Zasady projektu wejdą do konstytucji państwa. Wnioski zawierają między innemi dezyderaty następujące:

1) Min. W. R. i O. P. Winno być, przekształcone na Ministerstwo Wychowania i Oświecenia Publicznego.

2) Minister nie jest dyktatorem, władzę sprawuje łącznie z Naczelną Radą Wychowania. Do N. R. W. wysyłają drogą wyborów przedstawicieli swych: nauczyciele szkół powszechnych, szkół średnich i szkół wyższych, pedagogowie, lekarze, sejm, oraz organy samorządne.

3) Pieniądze na szkolnictwo w całości daje państwo. Organy samorządne obowiązane obecnie do świadczeń na rzecz szkół powsz., świadczeń tych bądź wcale nie wykonywują, bądź wykonywują je opieszale. Na tem cierpi oświata „Największą tyranją jest władza analfabetów“ powiedział jeden z delegatów na zjeździe. W radach gminnych rządzą dziś analfabeci, dlatego pieniędzy na szkolnictwo niema.

4) W okręgu szkolnym, odpowiadającym województwu, urzęduje dyrektor i istnieje Rada Szkolna Okręgowa, w powiecie — wizytator (inspektor szkolny) i Rada Szkolna Powiatowa, w gminie — Rada Szkolna Gminna.

5) Wszyscy członkowie Rad Szkolnych są wybieralni — 45% członków wybierają nauczyciele i lekarze *szkolni*, 55% samorządy.

6) Zasada wybieralności ma zastosowanie również przy obsadzaniu stanowisk dyrektorów, wizytatorów oraz kierowników szkół.

7) Wizytator ma do pomocy administratora i instruktorów szkolnych.

8) Sprawy pedagogiczne załatwiają Rady Pedagogiczne gminne na terenie gminy, powiatowe na terenie powiatu, okręgowe w okręgu szkolnym.

9) Opieki szkolne znoszą się. Mogą tylko po za ustawą powstawać opieki nad dziatwą szkolną

Po bardzo obszernej dyskusji wnioski refenta jednogłośnie przyjęto.

Cały dzień, to jest 10 godzin, zjazd obradował nad sprawami organizacyjnemi. Sprawozdanie Zarządu Głównego wykazuje szybki rozwój organizacji nauczycielskiej, Związek rok temu liczył 14.000 członków, w styczniu r. b. — 20.000, 1 kwietnia r. b. 21.500 członków, co stanowi $^2/_3$ czynnych nauczycieli. Ognisk jest 558. Działalnością swoją obejmują one b. Królestwo, Małopolskę i Kresy Wschodnie. Nauczycielstwo wielkopolskie jeszcze do wspólnej organizacji nie należy. Rozrost swój i siłę Związek zawdzięcza bezpartyjności, która cechuje wszelkie wystąpienia Związku. Umożliwia to należenie do Związku nauczycielom o różnych przekonaniach politycznych. Pod względem narodowościowym Związek jest jednolity: członkami są tylko nauczyciele — Polacy.

Związek dotychczas zdołał wywalczyć sporo zmian w ustawach, normujących prawno-państwowe stanowisko nauczyciela, zdobyć polepszenie bytu materjalnego. Zwycięstwa te były możliwe dzięki sprężystej organizacji, staraniom Zarządu Gїównego oraz istnieniu Koła sejmowego nauczycielskiego. Walka jeszcze nie skończona — czeka nauczycielstwo praca pod tym względem długa i wytężona — chodzi o wielkie rzeczy. By dać wyraz widomy ofiarności, zrozumienia swoich obowiązków zawodowych i zdolności do zbiorowybh i wielkich wysiłków postanowiło nauczycielstwo szkół powszechnych wybudować w stolicy „Dom Nauczycielski“. Będzie on, jak się wyraził jeden z uczestników Zjazdu, drugiem ministerstwem oświecenia. W „Domu“ mieścić się będą: a) biura Zarządu Głównego, b) bibljoteka pedagogiczna, c) sala na zebrania, d) księgarnia, e) centrala kooperatyw, f) drukarnia „Głosu Nauczycielskiego“ — bije się obecnie w 22.000 egz. — „Ruchu Pedagogicznego“, „Płomyka“, książek naukowych, pedagogicznych, podreczników szkolnych i t. d., g) hotel dla przyjezdnego nauczycielstwa, h) bursa dla dzieci nauczycieli, i) przytułek dla emerytów...

Projekt budowy „Domu“ z zapałem przyjęty został przez całe nauczycielstwo. Ofiary i datki 100 markowe ze wszystkich ziem licznie napływają. Zarząd Główny zbierze tą drogą w tym roku jeszcze 3 miljony marek.

Wkrótce Związek stanie się właścicielem za cenę $5^1/_2$ mil. marek „Domu Zdrowia“ w Zakopanem, jedynego na ziemiach polskich większego zakładu kuracyjnego dla chorych na gruźlicę. Nauczycielswo związkowe postanowiło i na ten cel opodatkować się. Dziś leczy się tam 100 kuracjuszów, po rozszerzeniu pomieścić będzie mozna 250.

Zjazd powołał do życia pozatem Centralę Kooperatyw nauczycielskich, która będzie zaopatrywać całe nauczycielstwo we wszelkie możliwe produkty pierwszej potrzeby.

Pod koniec Zjazd na wniosek Komisji wnioskowej uchwalił cały szereg rezolucji. Oto niektóre z nich.

Zjazd kategorycznie protestuje przeciwko uchwale nauczycielstwa poznańskiego, które wbrew wymaganiom nowoczesnej pedagogiki postanowiło nadal stosować w szkole karę cielesną.

Zjazd Delegatów domaga się, by przy obsadzaniu stanowisk w szkolnictwie kierowano się kwalifikacjami zawodowemi, a nie partyjno-politycznemi, jak to miało miejsce niedawno na uniwersytecie warszawskim.

Obrady Zjazdu wywarły na uczestnikach b. sympatyczne wrażenie. Dyskusja była rzeczowa, nacechowana powagą i godnością, uchwały zapadały przeważnie jednomyślnie, zaufanie do Zarządu Głównego było całkowite. Wyraziło się to w gorących owacjach, zgotowanych Prezesowi Związku Stanisławowi Nowakowi. Ze śpiewem „Roty“ delegaci i goście rozjechali się do domów.

Franciszek Hilczer,

Aforyzmy staroindyjskie.

Zamieszczone na innem miejscu aforyzmy staroindyjskie zostały wyjęte z większego zbioru, którym zasilił naszą tekę redakcyjną Paolo Emilio Pavolini, profesor sanskrytu na uniwersytecie we Florencji.

O znakomitym uczonym włoskim a wielkim przyjacielu Polski pisała w Nr. 2 „Tygodnia“ p. Julja Dicksteinówna z racji dokonanego przez niego ostatnio przekładu „Anhellego“.

W przedmowie do użyczonego nam rękopisu „Aforyzmów staroindyjskich“ prof. Pavolini pisze:

„Postanowiłem zużytkować pierwsze moje wiadomości z języka polskiego, aby przetłumaczyć z sanskrytu szereg owych małych aforyzmów, które Indjanie zwą *sûkta subhâshita* (t. j, „piękne zdania“), a które, dzięki elegancji, przenikliwości myśli i dowcipowi są, być może, najdoskonalszymi utworami owej świetnej literatury.

Liczby w nawiasach odsyłają do znanego zbioru aforyzmów indyjskich Boehtlingka; *Indische Sprueche* (II wyd.); ostatnia sentencja znajduje się w książce tegoż autora, *Sanskrit Chrestomathie* (II i III wyd,)

Na ostatku pragnę wyrazić swą wdzięczność memu przyjacielowi i nauczycielowi polskiego języka, p. Oskarowi Skarbek Głuchowskiemu, za uprzejme poprawienie niniejszej mojej pracy“.

Z życia naukowego.

Dnia 19 b. m. p. W. Mauryn wygłosił w Tow. Psychologicznem odczyt p. t. „Wrażenie jakie sprawia człowiek“. Odczyt rozpadał sie na dwie części. W pierwszej prelegent na szeregu przykładów ilustrował jak oddziaływuje na nas obecność ludzka, w drugiej zarysował teorję wyjaśniającą przytoczone przez siebie fakty. Obecność ludzka wpływa na nas deprymująco lub podniecająco. Przykładem stanu depresji wywołanego czyjąś obecnością jest trema, prowadząca często do zupełnego zatamowania czynności psychicznych lub też skrępowanie, ogarniające nas, gdy widzimy czyjąś uwagę skierowaną na siebie.

Wpływ podniecający bywa dodatni i ujemny. Pierwszy przejawia się między innymi w dobrych wynikach pracy zbiorowej, drugi mamy np. nieraz sposobność konstatować w zachowaniu się ludzi nieśmiałych w towarzystwie.

Obserwacje dokonane nad licznymi przejawami współżycia skłaniają prelegenta do stwierdzenia, że rywalizacja i walka grają w nim dominującą rolę. Ambicje każdego skierowane są do zajęcia wobec innych „położenia wyższości“ i do zagwarantowania sobie swej niezależności.

Przyznanie czynnikom tym należnego im we współżyciu ludzkim miejsca rzuca światło na fakty przytoczone w pierwszej części odczytu.

SPROSTOWANIE. W numerze 6 „Tygodnia Polskiego“ w artykule Jana Kucharzewskiego p. n. „Wielkość sprawy polskiej“ zaszła omyłka druku. Na str. 2 w szpalcie 1-ej wiersz 18 od dołu, winien być złożony jak następuje: „a w trzydzieści lat z górą potem ta Polska podnosi oręż“.

Od wydawnictwa.

Administrację „Tygodnia Polskiego“ objęło Biuro dzienników i ogłoszeń Ungra Warszawa, Wierzbowa 8 tel. 4-61. Tam też prosimy zwracać się w sprawach prenumeraty, kolportażu i ogłoszeń.

Cena numeru 4 mk., prenumerata miesięcznie 15 mk.
Cena ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy 10 mk.

Redakcja: Nowy Świat 22 I p. of. Tel. (tymcz.) 281-88, otwarta od 6—8 wiecz.

Administracja: Biuro dzienników i ogłoszeń Ungra. Wierzbowa 8. Tel. 4-61 (dawny)
Otwarta od 10 rano do 7 wieczór.

Redaktor: dr. FELIKS KIERSKI. **Wydawca:** ALOJZY WIERZCHLEJSKI.

DRUKARNIA LITERACKA, Nowy Świat 22.